

rozprawy i studia

IZABELLA BUKRABA-RYLSKA¹

OBRAZ WSI W DEBACIE PUBLICZNEJ PO ROKU '89

Abstrakt. Artykuł omawia główne wątki toczonej w okresie transformacji debaty na temat wsi i rolnictwa w Polsce. Wykorzystuje w tym celu opracowania naukowe, a także materiały prasowe. Z podstawowymi twierdzeniami formułowanymi w tej debacie (np. wieś jako balast przemian, jako dłużnik społeczeństwa, rolnictwo chłopskie jako niewydajne itd.) autorka tekstu stara się polemizować, wykazując ich bezzasadność oraz ideologiczne i polityczne uwarunkowania.

Słowa kluczowe: mowa nienawiści, koniec chłopów, przepływy międzygałęziowe, paradygmat transformacji

WPROWADZENIE

Rozważania poświęcone temu tematowi wypada zacząć od cytatu, który streszcza najważniejsze wątki debaty o polskiej wsi w III RP i znakomicie oddaje także emocje towarzyszące sporom. Jerzy Jastrzębski w tekście pod znamennym tytułem *Jak schłopić Polskę?* pisze: „Wieś ma prasę złą i coraz gorszą. Jej grzechem głównym jest to, że w ogóle istnieje. Wieśniaków zostało za dużo i nie takich, jacy są potrzebni Europie, Polsce, miastom i gminom. W marszu do Europy są zatem chłopci kamieniami po kieszeniach i worami niepotrzebnych kartofli na plecach. Z takim bagażem nie chcą nas wpuścić na salony” [Jastrzębski 1998, s. 509]. Trudno oprzeć się wrażeniu, że tak jak poprzednio dla komunistów, tak obecnie dla liberałów właśnie świat wiejski stanowi irytującą zapórę na drodze do inspirowanej raz wzorami ze Wschodu, a raz z Zachodu modernizacji. Nic zatem dziwnego, że to wieś staje się za każdym razem przedmiotem

¹ Autorka jest pracownikiem naukowym Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN (e-mail: ibukraba@irwirpan.waw.pl).

rozmaitych koncepcji przebudowy, obiektem, na który nakierowuje się poznawczo-misjonarską aktywność, polem realizowania kolejnych wizji ideologicznych. To z ideologii bowiem brały się kolejne pomysły na gruntowną zmianę stosunków wiejskich, uznawanych zawsze za gorsze i bardziej zacofane od świata miejskiego. Poczynając od kolektywizacji, która „zdziczałego rolnika” [Lenin 1984, s. 315] miała wprząc w „wielkie, uspołecznione, zmechanizowane rolnictwo” i przemienić wieś „w kwiecisty ogród, w którym żyć będzie ród wolny, wesoły i dumny” [Kautsky 1958, s. 606], przez projekty przekształcenia tradycyjnych chłopów w nowoczesną grupę zawodową rolników, aż po współczesne programy tworzenia sektora farmerskiego jako optymalnego rzekomo modelu rolnictwa – mimo tak różnych sformułowań za każdym z tych projektów stał ten sam paradygmat. W rzeczywistości nigdy nie oznaczał on rozwoju wsi i rolnictwa, lecz zakładał „mechaniczne przeniesienie społeczno-ekonomicznej opcji przemysłu na problemy rolnictwa i społeczno-kulturowej opcji miasta na problemy wsi, traktowanej jako coś, co jeszcze nie jest miastem, co wszakże w miarę postępu i wyrównywania szans miastem stać się powinno” [Kaleta 1996, s. 10].

Przywołane podejście do tematu wiejskiego, nacechowane wyraźnie miejskim szowinizmem, można podsumować trzema uwagami. Po pierwsze, postrzegając wieś jako teren zacofany, postęp interpretowano w kategoriach wyrównywania różnic i niwelowania szans, co miało tak pożądany posmak humanitaryzmu i wrażliwości społecznej. Nietrudno jednak zauważyć, że proces ten miał być równoznaczny z utratą autonomii i z przekształceniem społeczności wiejskiej w podporządkowaną mechanizmom społeczeństwa globalnego jego integralną część. Po drugie, zgodnie z przyjmowanymi założeniami, wszelkie postępowe zmiany mogą zachodzić na wsi jedynie dzięki wpływowi z zewnątrz, jest to więc zawsze koncepcja rozwoju indukowanego, egzogenego, a nie immanentnego, endogenego. Wieś i rolnictwo, zdaniem większości badaczy (także współczesnych), to „...bierna potęga, która przeinacza się w znacznym stopniu na skutek oddziaływania ze strony stosunków powołanych do życia przez industrializm” [Krzywicki 1967, s. 342]. I po trzecie, skoro „postęp ekonomiczny na wsi – jak pisał Krzywicki – nie rodzi się w chacie włościanina, ale na wzór barbarzyńcy wtarga z zewnątrz” [Krzywicki 1967, s. 299], oczywiście się staje, że wieś, zgodnie z referowanym tu ujęciem, ma status bytu niepełnowartościowego, pasywnego, rzekomo zdolnego jedynie do reagowania na zmieniającą się sytuację i stosowane bodźce. Proponowane jej strategie nie wykraczają zatem poza działania przystosowawcze, nie dopuszcza się bowiem myśli, by to wieś mogła wywierać wpływ na kształt współczesnego świata. Za tą odmową prawa do współuczestniczenia w przemianach inaczej niż przez podleganie im kryje się przeświadczenie, że to nie wieś jako określona siła społeczna, ekonomiczna czy kulturowa będzie wybierać obowiązujące powszechnie wartości, wytyczać kierunki rozwoju, jednym słowem – decydować o przyszłości. „Nie tylko socjologia, ale i opinia powszechna widzą we wsi coś biernego, coś, co tylko przeżywa i przeżuwa, a nie tworzy i dąży” – dawno temu pisał Władysław Grabski [Grabski 1936, s. 71].

Prowadzona w III RP debata publiczna o polskiej wsi nie wykracza poza historycznie utrwalone założenia, co więcej, dyskutanci nadal posługują się odziedziczonym po przeszłości językiem sporu, z tym że większa ich część mówi w dalszym ciągu (zapewne nie zdając sobie z tego sprawy) Krzywickim, a jedynie mniejszość odwołuje się do Grabskiego i jego przekonania, iż wieś stanowi znaczącą potęgę społeczną, najistotniejszy element w każdym społeczeństwie. Używany aktualnie język dyskusji zostanie poniżej scharakteryzowany w modnych kategoriach nauk społecznych, ale uruchamiane przez niego argumenty nie byłyby zrozumiałe, gdyby pozostawić je bez merytorycznego komentarza. To dlatego w poniższych rozważaniach zostaną użyte racje odwołujące się do innych założeń i konkurencyjnych danych. W zakończeniu zarysowane zostaną niepokojące, a już ujawniające się konsekwencje używania pewnego rodzaju sformułowań, dobitnie ilustrujące słuszność koncepcji z filozofii języka, które zwracają uwagę nie tylko na opisowy, ale też pragmatyczny aspekt posługiwania się mową (koncepcja konstatacji i performatywów Johna Austina jest tu najlepszym odniesieniem).

POLSKA WIEŚ I MOWA NIENAWIŚCI

Jeśli rację ma Jose Ortega y Gasset, wybitny filozof hiszpański, pisząc, że znaczna część europejskiej filozofii to dzieje pojęć o rzeczach, które poszukują rzeczy przez nie pomyślanych [Ortega y Gasset 2004], to powinniśmy starać się kojarzyć odpowiednie pojęcia z właściwym dla nich przedmiotem. Niestety do tej pory określenia takie, jak: stereotypy, uprzedzenia, marginalizacja czy wykluczenie, odnoszono do różnych mniejszości, których – jak wiadomo – ilości w Polsce są śladowe, bądź też (jak np. Żydów) praktycznie już nie ma [Śpiewak 2005]. Prawdopodobnie ta sugerowałaby jakąś dziwną inklinację rodzimych nauk społecznych do nader aktywnego zajmowania się bytami urojonymi, takimi jak chociażby klasa średnia czy społeczeństwo obywatelskie, przy jednoczesnym zbywaniu wyniosłym milczeniem istniejących realnie obszarów rzeczywistości.

Tymczasem o tym, że to właśnie w stosunku do polskiej wsi i jej mieszkańców uczestnicy debaty publicznej od dobrych dwudziestu lat używają języka zwanego przez badaczy „mową nienawiści”, nie trzeba nikogo przekonywać. Celują w tym zarówno publicyści („...polska wieś nie reprezentuje obecnie niczego wartościowego pod względem obyczajów, kultury czy moralności. Przeciwnie, jest widownią moralnego rozkładu i lumpenproletaryzacji” [Łagowski 2003]), filmowcy (zmanipulowany obraz popegeerowski *Arizona*), jak i socjologowie („...następuje tu nieodwracalna degradacja ich tkanki społecznej, uruchamiają się samoczynne mechanizmy reprodukcji nieszczęścia, a subkultura zależności i przestępczości staje się stałym atrybutem warstwy” [Mokrzycki 2001]). Już u progu transformacji przepowiadano, że mieszkańcy wsi mogą stać się grabarzem nie tylko gospodarki rynkowej, ale też demokracji [Rychard i Federowicz 1993]. W kolejnych latach powtarzano te obawy wielokrotnie: mieszkańcy wsi w ogóle, a chłopcy w szczególności mają rozliczne „bariery mentalne” i żywią niczym nieuzasadnione „antyeuropejskie fobie” [*Problem barier...* 2000,

Kocik 2001]; co gorsza, reprezentują postawy wyuczzonej bezradności i są rozczeniowi, jednym słowem stanowią grupy „złodziejsko-żebracze”, ponieważ żebrzą u silniejszych, a okradają słabszych, jak to dużo wcześniej ujął ksiądz profesor Józef Tischner [1982]. Ponadto są to środowiska, które pielęgnują „amoralny familizm”, nie potrafią się obywatelsko stowarzyszać, a jeśli już, to tworzą wyłącznie „brudne wspólnoty”, przeżarte korupcją i nepotyzmem; co więcej, z racji swego zacofania są niczym więcej jak reliktem – „nie mieszczą się w strukturze danego społeczeństwa”, ponieważ „żyją w anachronicznej niszy sięgającej głęboko w przeszłość”, a sam fakt ich istnienia jest dziś „świadectwem zacofania kraju” [Mokrzycki 2001]. Jednym słowem, polska wieś to balast spowalniający pożądane reformy, a polskie rolnictwo jest zacofane i niewydolne [*Wieś i jej mieszkańcy* 1995].

Wiadomo z historii, że praktyki dyskursywne (to, o czym się mówi i jak się mówi) bywają często odroczonymi dyrektywami działania i w stosownym momencie ujawniają swój potencjał performatywny – wpływania na kształt rzeczywistości. Jak się przekonamy, powtarzane od początku transformacji slogany o wsi, jako balaście reform, najwyraźniej znieczuliły już opinię publiczną, która nie protestuje nawet wtedy, gdy zaczynają się pojawiać propozycje pozbycia się takiego balastu, czyli na przykład fizycznego wykluczenia osób zbędnych (co w istocie zakłada koncepcja przedstawiana pod hasłem „emigracji ostatniej”), a więc mieszkańców wsi. Warto zatem zastanowić się pokrótce nad przyczynami utrwalonego w debacie publicznej i wspieranego argumentami socjologów tak jednoznacznie negatywnego wizerunku wsi, a następnie przyjrzeć się kilku najczęściej powtarzanym i zarazem najbardziej fałszywym hasłom, dotyczącym polskiej wsi i drobnych rolników.

Na zdecydowany antyruralizm socjologii wpłynęły niewątpliwie okoliczności powstania tej dyscypliny. Została ona ukonstytuowana w momencie rozpadu tradycyjnego porządku identyfikowanego ze społeczeństwami agrarnymi i od początku reprezentowała interesy epoki przemysłowej [Poleszczuk 1990, s. 68, Habermas 1995, s. 25]. Uwidacznia się to chociażby w teoriach rozwoju i w stosowanych kryteriach postępu, zgodnie z którymi im społeczeństwo bardziej rozwinięte, tym mniejszy odsetek ludności mieszka na wsi, pracuje w rolnictwie i tym mniejszy jest udział rolnictwa w tworzeniu PKB. W analizie antywiejskich postaw reprezentowanych przez współczesne elity nie należałoby również pomijać faktu wciąż żywych wśród polskiej inteligencji resentymentów, co dobitnie charakteryzował Józef Chałasiński czy Władysław Grabski. Wyjaśniając niechęć środowisk opiniotwórczych wobec wsi i chłopów, można też brać pod uwagę opcje polityczne znacznej części badaczy społecznych i dziennikarzy. Ich liberalne (a w przypadku innych – lewicowe) nastawienie każe im z nieufnością patrzeć na grupy o bardziej tradycyjnych, nacjonalistycznych czy wręcz populistycznych nastawieniach. Socjologowie zresztą nie kryją swoich uwarunkowanych światopoglądowo postaw: „Wieś głosi wyraźnie inaczej niż miasto – pisze Maria Halańska – a związki między «rolniczością» wsi a siłą poparcia dla partii rolniczo-populistycznych są istotne” [Halańska 2006, s. 19]. Cała krytyka nakierowana na tak rozległy i trwały w Polsce seg-

ment agrarny oraz formułowane projekty modernizacyjne, zmierzające do unowocześnienia wsi i rolnictwa, ujawniają tym samym swoje pozanaukowe, wybitnie ideologiczne uwarunkowania. Pochodną takich właśnie opcji ideologicznych był zresztą cały projekt transformacji narzucony polskiemu społeczeństwu po '89 roku [Kowalik 2009].

WIEŚ JAKO BALAST?

Pierwsze z najbardziej popularnych w debacie publicznej poświęconej wsi i rolnictwu haseł to oczywiście twierdzenie, że wieś i rolnictwo są balastem rozwoju i tak zacofanym segmentem społeczeństwa globalnego, że wymagają ciągłego dofinansowywania. Jak wiadomo chociażby z ciągłych sporów o KRUS, tylko dla świętego spokoju, bo pod groźbą strajków i blokad dróg trzeba utrzymywać skrajnie niewydolną i niewydajną, ale za to zdecydowanie roszczeniową ludność wiejską. Ze szczególną ostrością zarzuty tego rodzaju pojawiały się w okresie przedakcesyjnym, kiedy to zarzucano rolnikom wręcz klasowy egoizm. Marcin Król w felietonie *Żakeria po polsku* pisał: „Zasmuczającą stroną siły, jaką dysponują dziś polscy rolnicy, jest fakt, że ma ona całkowicie negatywny charakter. Polska będzie w przyszłości skazana na rolę gigantycznego muzeum chłopstwa. Jednokonny wóz. Samotna krowa na łące. Świnie jedzące łapczywie z rodzinnego stołu. Można dojrzeć chałupy z anteną telewizyjną, ale w otoczeniu słomy, błota, porąbanego drewna i przy aromatycznym smrodzie z obory” [Król 2002]. Trudno o bardziej dobitną ilustrację określenia „mowa pogardy i nienawiści”.

Inny przykład: Janusz Majcherek w artykule *Wsi zacofana, wsi niewesoła* dostarcza czytelnikom tyleż mocnych, co nieprawdziwych twierdzeń: sama liczba mieszkańców polskiej wsi (prawie 40%) jest zdaniem publicysty „zatrważająca” (ciekawe, czy podobnie zatrważa go Irlandia z 39,6% mieszkańców wsi albo Finlandia – 39,1%, Portugalia – 44,4% czy Słowenia – 49,2%). Profesor uczelni krakowskiej martwi się też, że społeczeństwo „...utrzymuje tę wiejską ludność przez liczne transfery dochodowe i socjalne”, z których najbardziej spektakularną i osławioną jest „nienaruszalny KRUS”. Co gorsza, te transfery zwiększyła wydatnie integracja z UE: „...do pieniędzy płynących z kasy Unii na dopłaty bezpośrednio polski budżet dokłada wielomiliardowe kwoty” – tym samym „...utrwała się zacofana struktura agrarna i społeczna” [Majcherek 2009]. Z ewidentnymi przekłamaniem i fałszami zawartymi w artykule Majcherka rozprawia się Barbara Fedyszak-Radziejowska [2010], znany socjolog wsi, ale, niestety, bardziej typowy dla tonu i merytorycznej zawartości debaty publicznej jest cytowany tekst Majcherka. Dziwne tylko, że współczesne elity – zarówno liberalne, jak i proeuropejskie – posługują się językiem klasyków marksizmu. To Marks porównywał chłopów do „worka kartofli”, Engels nazywał ich „bierną potęgą, którą trzeba wyrwać z izolacji i ośłupienia”, a Kautsky w swoim programie agrarnym przewidywał „zabicie chłopskiej duszy” i umocnienie jej „proletariackiego charakteru”.

Podstawowe przeświadczenie, na którym publicyści i część socjologów opiera swoje postmarksistowskie twierdzenia, trzeba w tym miejscu pokrótce omówić. Dla większości osób piszących o kondycji polskiego rolnictwa nie ulega więc wątpliwości, że pozostaje ono daleko w tyle za innymi sektorami gospodarki oraz za rolnictwem europejskim, tymczasem coś, co nie budzi wątpliwości, bywa często absolutnie nieprawdziwe. W tym samym bowiem okresie ekonomiści rolni (np. Tadeusz Hunek) przeprowadzali rzetelne analizy, z których wynikało, że społeczna sprawność polskiego rolnictwa (czyli zdolność tworzenia wartości dodanej przez osobę zatrudnioną) jest wyższa niż polskiego przemysłu i ponad dwa razy wyższa niż w krajach UE. Ale kto by czytał skomplikowane wywody naukowców, skoro można mieć opinię publiczną kłamliwymi banałami. Kiedyś Julian Tuwim pisał o „strasznych mieszczanach” – byli straszni, bo widzieli wszystko osobno. Dziś, jak widać, mamy „straszne elity”, ponieważ widzą tylko to, co na powierzchni, a nie są zdolne dostrzec tego, co ukryte głębiej, za to jak diabeł święconej wody, tak oni obawiają się poznania prawdy o własnym społeczeństwie. Gdyby przynajmniej zadano sobie trud i prześledzono procesy nazywane przez ekonomistów „przepływami międzygałęziowymi”, stałoby się jasne, że wieś nie jest dłużnikiem, ale raczej wierzycielem reszty społeczeństwa, i to od ładnych kilku stuleci.

Już w czasach pańszczyzny, jak szacowali historycy gospodarczy, obciążenia dochodu wypracowanego przez chłopą przekraczały 97% (M. Kniat) albo 65% jego siły roboczej (J. Kochanowicz) i wszystko to szło po części na utrzymanie państwa, ale chyba przede wszystkim na „dziewki bose po same szyje”, jak pisał o rozpróżnianej szlachcie Karol Zbyszewski [1962]. Po odzyskaniu niepodległości, już w okresie II RP, starano się rozwijać kraj drogą „prostego przesuwania dochodu rolnictwa ku przemysłowi” (J. Poniatowski), a więc traktowano segment agrarny jako źródło pierwotnej akumulacji. Lata PRL-u to dalszy ciąg tego drenażu, osiągającego zwłaszcza zaraz po wojnie rozmiary rabunkowej eksploatacji wsi i jej zasobów: materialnych, finansowych i ludzkich. Skalę ówczesnych „przepływów międzygałęziowych” obliczano na co najmniej 30% dochodu rolnictwa indywidualnego. Musiało ono finansować forsowną industrializację, dokładać do przynoszących gigantyczne straty PGR-ów i za pół darmo żywić ludność miejską – „...socjalistyczne miasta karmiono kradzionym chlebem” pisał Andrzej Koraszewski [1992]. Osobny wkład w rozwój socjalistycznego przemysłu mieli tzw. chłoporobotnicy, którzy najpierw budowali drogi, następnie po tych drogach przemieszczały swoją siłę roboczą do miast (aby tam pracować i podnosić wskaźniki wydajności przemysłu oraz usług) i z powrotem – na wieś (aby tam we własnym gospodarstwie regenerować swe siły).

Jeżeli ktoś myśli, że wraz z nastaniem gospodarki rynkowej sytuacja uległa poprawie, to się grubo myli. Rolnictwo, jako słabszy partner w grze rynkowej, nadal jest wykorzystywane, o czym świadczą chociażby tzw. nożyce cen czy utrzymujące się znaczne dysparytety dochodowe rolników (A. Woś), a dodatkowo wieś ponosi ogromne i wymierne koszty transformacji. Samo przechowywanie ponad 600 tys. zwolnionych na początku przemian chłopów-robotników

(niektórzy zresztą ich liczbę szacują na trzy razy tyle) obciążała ludność wiejską sumą przekraczającą 1 miliard zł rocznie – o ile brać pod uwagę tylko pensje utracone przez ludność dwuzawodową i to pensje liczone jako minimalna płaca [Błąd 2009]. A gdyby tak doliczyć jeszcze koszty utrzymania tej ludności przez ich rodziny, wyszłoby drugie lub trzecie tyle. I tyle właśnie wieś rokrocznie dopłaca do budżetu, tyle „przegrani” transformacji fundują „wygranym”. W tej sytuacji pełne hipokryzji utyskiwania pod adresem segmentu agrarnego, tak powszechne w debacie publicznej, przypominają abominację, jaką w Dorianie Grayu budził jego własny portret. Jak wiadomo, wszelkie grzechy i występki tytułowego bohatera opowiadania Oskara Wilde’a odcisnęły się tylko na płótnie, pozostawiając wygląd samego utracjusza w stanie nienaruszonym. Polska wieś jest właśnie takim portretem dla reszty społeczeństwa, ona ponosi konsekwencje jednostronnych i błędnych decyzji na szczeblu państwowym. Rozpoczęta w 1989 roku transformacja, to tylko kolejna wersja tej samej, liczącej parę setek lat historii, a stanowiąca skutek podjętych przed dwudziestu laty reform kondycja wsi nie da się określić inaczej jak dezolacja, czyli (zgodnie z definicją stosowaną kiedyś przez lustratorów szlacheckich majątków) doprowadzenie do ruiny i utraty mocy produkcyjnej danego majątku. Konsekwencje takiej polityki widoczne są w sferze gospodarczej, społecznej, ale i kulturalnej, gdzie ze szczególną ostrością narastają się zaniedbania, liczące wiele dziesięcioleci.

KONIEC CHŁOPÓW?

Drugie hasło ukute przez socjologów, a z upodobaniem powtarzane przez media, to teza o mającym rychło nastąpić „końcu chłopów”. Publicyści, piszący na te tematy, prześcigali się w dosadnych sformułowaniach: „chłopi są skazani na wyginięcie, na zagładę”, „to tykająca bomba społeczna”, ich dni „są policzone”, „to rolnicze niedobitki na wymarcie”, „to klasa ludzi zbędnych”, „chłopi muszą zniknąć”, „to balast, którego powinniśmy się jak najszybciej pozbyć, bo nie ma z nich żadnego pożytku” [Łazarewicz 2008]. Aż się prosi, by w odpowiedzi zacytować znaną ripostę Marka Twaina: „...pogłoski o mojej śmierci są przedwczesne i mocno przesadzone”. Dokładnie tak samo jest bowiem z tradycyjnymi gospodarstwami chłopskimi w Polsce, których na początku transformacji nie dość, że nie ubyło, to nawet przybyło; wyraźnemu zmniejszeniu uległa za to liczba gospodarstw towarowych [Halamska i in. 2003]. Tak jakoś dziwnie przebiega nasza modernizacja, że liczba ludności wiejskiej zamiast się zmniejszać, to od 2000 roku wzrasta; że gospodarstwa produkujące na rynek, które dobrze sobie radziły w gospodarce socjalistycznej, teraz – w gospodarce rynkowej, mają się dużo gorzej; że przeliczana na miliony ton zbóż produkcja rolna wynosiła w 1990 roku 79 mln, a teraz zaledwie 54,5 mln [Michna 2008]. A przecież transformacja, a zwłaszcza akcesja do UE, miały wydatnie ożywić także ten sektor naszej gospodarki. Ale czy winę za to wszystko ponoszą chłopi? Czy rzeczywiście przeszkodą na drodze postępu (identyfikowanego najczęściej ze zmianą struktury agrarnej, zmniejszeniem liczby pracujących w rolnictwie i – jako naj-

ważniejszej konsekwencji tych procesów – ze wzrostem wydajności) są ich drobne gospodarstwa? Czy naprawdę wydajność i produktywność to atrybuty rolnictwa wielkoobszarowego? Istnieją świadectwa wskazujące, że jest dokładnie odwrotnie. Należy pokrótce przyjrzeć się temu zjawisku.

W okresie międzywojennym badacze z Puławskiego Instytutu Naukowego Gospodarstwa Wiejskiego wyliczali precyzyjnie: „...biorąc pod uwagę produkcję i na zbył i na swoją potrzebę, a tylko taki rachunek jest istotnie miarodajny, największe gospodarstwa włościańskie trzy razy przeszło gorzej wykorzystują ziemię, jaką posiadają, od najmniejszych – dają przeszło trzy razy mniejszy dochód społeczny, przeszło cztery razy mniejszy dochód rolniczy, z górą dwa razy mniejszy dochód czysty” – pisał Jan Curzytek [1928], a więc na jednostkę obszaru przypadało dochodu tym więcej, im mniejszy był obszar gospodarstwa. I nie było to bynajmniej tylko naszą, polską specyfiką. W latach sześćdziesiątych karłowate działki przyzagrodowe w ZSRR dawały z 3% ziemi ponad 1/3 wszystkich artykułów spożywczych (2/3 ziemniaków, 3/4 jaj itd.) [Judt 2008]. Również dzisiejsze rolnictwo rosyjskie pokazuje te same uniwersalne, jak widać, prawidłowości: gospodarstwa wielkoobszarowe, zajmujące prawie 80% gruntów, dają niecałe 44% produkcji, a działki przyzagrodowe na powierzchni 4,8% zaspokajają aż 49,6% zapotrzebowania na żywność [Dzun 2009]. „Małe” jest więc ponad wszelką wątpliwość nie tylko piękne, ale i wydajne. Jeżeli dodać do tego, że drobna gospodarka jest zarazem bardziej odporna na kryzysy i tańsza dla społeczeństwa, że daje zatrudnienie i utrzymanie dużej liczbie ludności (co prawda marksiści, znani ze swej wrażliwości społecznej i humanitaryzmu, np. Karol Kautsky czy Ludwik Krzywicki, dodawali tu również – biedę, ale z tą niekorzystną wizją tradycyjnego gospodarstwa chłopskiego jako „obórki chłopskiej” polemizował już Władysław Grabski), to trudno doprawdy zrozumieć, dlaczego rolnictwo typu farmerskiego, które nie jest tak elastyczne, zatrudnia znikomy odsetek pracujących i kosztuje budżet tym więcej, im mniej do niego wnosi – nazywa się nowoczesnym i racjonalnym. No, ale są to wszystko szczegóły, od których uwaga medialnych autorytetów odwraca się ze wzgardą, ponieważ takie detale nie zainteresują odbiorców. Zamiast tego upowszechnia się więc nośne, ale całkowicie nieprawdziwe i skrajnie uproszczone hasła o niebezpiecznym przesłaniu.

Na osobne podkreślenie zasługuje tu również fakt, że duża liczba drobnych posiadaczy (także ziemi) to najlepsza gwarancja demokracji właścicielskiej i takiego liberalizmu, za którym opowiada się niekwestionowany autorytet w tej dziedzinie, wybitny filozof John Rawls [1994]. Tym bardziej musi dziwić, że polskie elity i badacze społeczni, tak skądinąd zaangażowani w promowanie ładu liberalno-demokratycznego, stronią od jego najbardziej właściwej formy. Zamiast tego opowiadają się natomiast za czymś, co ekonomista amerykański Joseph Schumpeter nazywał „cywilizacją nierówności”, czyli skupianiem własności (a zatem i władzy) w ręku nielicznych. W odniesieniu do współczesnej kwestii wiejskiej w Polsce przekonanie takie prowadzi do popularnych haseł o konieczności przeniesienia chłopów do miast, a raczej do slumsów otaczających aglomeracje, która to wizja niedwuznacznie wynika na przy-

kład z wpisanej już w programy rozwoju kraju koncepcji rozwoju metropolitalnego. Zdaniem wielu wpływowych publicystów, wystarczy wstrzymać wypłaty z KRUS-u i inne formy dotacji, subwencji czy dopłat, a bieda wygna rzesze nieproduktywnych drobnych rolników ze wsi. Konsekwencją takiego rozwiązania byłoby jednak sprowadzenie znacznej części obywateli do roli najemnej siły roboczej, pozbawionej jakiegokolwiek wpływu na sferę gospodarczą i w konsekwencji – także polityczną i społeczną. Jest to model kapitalizmu dziewiętnastowiecznego, od którego szczęśliwie rozwinięte kraje Zachodu odeszły już dawno. Nie ma żadnego powodu, by w Polsce w XXI wieku budować taki archaiczny ustrój, by wznosić skansen odrzuconych gdzie indziej rozwiązań. Współcześnie powinno się zatem kłaść nacisk na zapewnienie możliwie powszechnej dystrybucji własności, gdyż jest to warunek rozwoju gospodarki rynkowej i społeczeństwa obywatelskiego. Aby drobni producenci mogli prawidłowo i efektywnie funkcjonować, niezbędne jest jednak zbudowanie należytego otoczenia instytucjonalnego, prawnego i finansowego, a z tym u nas nie jest dobrze. Już po dziesięciu latach transformacji Jadwiga Staniszkis alarmowała, że mamy raczej do czynienia z „bolszewickim kapitalizmem” i „kapitalizmem państwowym bez państwa” [Staniszkis 2001], a Janusz Beksiak pisał o „pełzającym powrocie do praktyk regulacyjnych” oraz o mechanizmach antyrynkowych [Beksiak 2001]. Wszystko wskazuje więc na to, że po raz kolejny wspaniale udaje nam się budowa „kapitalizmu biernego”, ale nie „czynnego”, o czym tak pisał Stanisław Grabski w swoich *Myślach o dziejowej drodze Polski*: „...były narody posiadające w swym łonie wszystkie czynniki swego gospodarczego postępu, własną przedsiębiorczością i własnymi kapitałami organizujące coraz liczniejsze i coraz wydajniejsze przedsiębiorstwa nie tylko we własnym państwie, lecz i w zagranicznych krajach. Były też narody, którym obcy przedsiębiorcy zakładali fabryki, które nie mogły wyżywić się należyście we własnym kraju i szukały dla znacznej części swych warstw ludowych emigracyjnych zarobków. Polska była takim właśnie krajem biernego kapitalizmu” [Grabski 1989].

WIEŚ JAKO GRABARZ TRANSFORMACJI?

Wreszcie trzecie popularne hasło i zarazem fałszywy, krzywdzący stereotyp, że mieszkańcy wsi ze względu na swoje postawy i tradycyjne poglądy w sferze moralności, z uwagi na swój egalitaryzm i kolektywizm, brak przedsiębiorczości i innowacyjności stać się mogą grabarzem państwa liberalnego i gospodarki rynkowej [Rychard i Federowicz 1993], a właściwe im zakorzenienie w etniczności, odrębnej kulturze lokalnej, religijności może oddzielać ludzi od siebie i hamować wspólny wysiłek na rzecz obywatelstwa europejskiego *par excellence* [Lamentowicz 1995], jak to od początku transformacji ze swadą, ale bez większego sensu rozpisywali się socjologowie. Pozostawali tym samym w rzadkiej zgodzie z opinią publiczną (identyfikowaną przez nich zwykle jako populistyczna), dla której wieś „...stała się synonimem zacofania, ciemnoty i obciachu. «Robić wieś» to w młodzieżowym slangu znaczy zachowywać się

jak troglodyta” [Pietrasik 2003]. Wszystkie te twierdzenia, skądinąd zasługujące na określenie „niepoprawnych politycznie” – gdyby tylko były używane pod adresem dowolnej innej grupy społecznej – ulegają jednak falsyfikacji: i w praktyce, i przez konfrontację z tekstami zachodnich badaczy. Nie o bierności bowiem, ale o dynamice ludności wiejskiej świadczy zarówno fakt dynamicznego nadrabiania dystansów w poziomie wykształcenia (w 1988 roku wykształcenie wyższe miało na wsi zaledwie 1,8% mieszkańców, a w mieście – 9,4%, w 2002 roku było to już odpowiednio 4,3 i 13,7%, w 2006 roku – 6,4 oraz 20,7%, a w 2008 roku – 7,5 i 23,2%) [Frenkel 2010, s. 55], jak i ich imponująca zaradność, widoczna chociażby w intensywności podejmowania migracji zarobkowych. Przy czym emigrują nie tylko osoby z niskimi kwalifikacjami, ale już po wejściu Polski do UE zaznacza się inna, niepokojąca tendencja: z im mniejszego ośrodka pochodzi młody człowiek, który zdobył dyplom wyższej uczelni, tym bardziej jest on predestynowany do wyjazdu, gdyż w kraju, budującym podobno gospodarkę opartą na wiedzy i stawiającą na wysoko wykształcony kapitał ludzki, brakuje dla takich osób odpowiedniego zatrudnienia.

Jednym z ulubionych, acz całkowicie chybionych argumentów kierowanych przeciwko mieszkańcom wsi pozostaje też od dwudziestu lat twierdzenie o ich rzekomej niezdolności do budowania społeczeństwa obywatelskiego, podejmowania działań na rzecz dobra wspólnego i kreowania różnych form samoorganizacji. Wiele badań zdawało się potwierdzać tę diagnozę, ale tylko wtedy, gdy miernikiem zaangażowania czyniono członkostwo w organizacjach, poczucie wpływu na rzeczywistość czy poziom zaufania. Według danych Europejskiego Sondażu Społecznego z 2002 roku, z lubością cytowanych też przez media, najwyższą tak mierzoną aktywność odnotowywano w dużych miastach (15,7%), a najniższą na wsiach (7,5%). Wątpliwości musi jednak budzić zasadność stosowanych najczęściej kryteriów, które przez uczestnictwo w życiu obywatelskim rozumieją jedynie przynależność do stowarzyszeń i fundacji (NGO-sów), pomijają zaś tradycyjne formy organizacji na wsi w rodzaju Kół Gospodyń Wiejskich, Ochotniczych Straży Pożarnych czy też wielu cennych, ale nieformalnych działań inicjowanych na przykład przez parafie. Uwzględnienie specyfiki wsi – typu więzi społecznych, sposobów samoorganizacji i miejsca różnych instytucji w środowisku lokalnym, pozwala natomiast stwierdzić, że mieszkańcy wsi, a zwłaszcza rolnicy pod wieloma względami górują nad mieszkańcami miast: na przykład zaangażowanie w prace społeczne deklarowało w 2004 roku 51% rolników i 41% kadry kierowniczej oraz 30% mieszkańców wsi i 20% mieszkańców miast [Fedyżak-Radziejowska 2006, s. 105].

Zarysowany, a zwykle pomijany problem tylko pozornie ma charakter metodologiczny. W rzeczywistości dotyka podstawowych kwestii teoretycznych: definicji społeczeństwa obywatelskiego i sposobu rozumienia modnego pojęcia „kapitał społeczny”, sugeruje także konieczność równoprawnego traktowania modelu wspólnotowego, właściwego wsi, oraz modelu zrzeszeniowego, charakterystycznego dla miast [Klekotko 2005]. Nieuwzględnianie tych oczywistych odmienności, a zwłaszcza preferowanie tylko niektórych z form przejawiania się

samoorganizacji i istnienia społeczeństwa obywatelskiego naraża na zarzut nierzetelności i kulturowego rasizmu, czyli preferowania tylko pewnych rodzajów instytucji i wzorów postępowania. Tego typu myślenie niestety bardzo częste zarówno w mediach, jak i w opracowaniach naukowych minionego dwudziestolecia, to także przejaw dyskursu „centrum” – dyskryminującego i nacechowanego pogardą wobec „peryferii” [Zarycki 2009].

W STRONĘ NOWEGO PARADYGMATU TRANSFORMACJI

Warto wreszcie, podsumowując powyższe obserwacje, uświadomić sobie, że za cytowanymi tak negatywnymi opiniami na temat mieszkańców wsi stoi określony, dość prosty i przejęty bezkrytycznie z zachodnich podręczników paradygmat transformacji. Ten książkowy, nigdzie właściwie w praktyce nieprzeciwczony model próbowano narzucać polskiemu społeczeństwu, nie uważając, że posiada ono inne atuty, mogące o wiele bardziej przyczynić się do modernizacji kraju. O takich atutach pisze na przykład David Landes, który rozważając odwieczną kwestię, dlaczego ubogie kraje są biedne, a zamożne – bogate, odpowiadał: „Sukcesy ekonomiczne takich krajów jak Anglia były efektem wcześniej i mocno rozwiniętej świadomości narodowej, czyli nacjonalizmu” [Landes 2002]. (Czyżby Landes nie rozumiał, jak bardzo nieeuropejsko to brzmi?) O tym, że chcąc budować nowoczesne, liberalne społeczeństwo i także gospodarkę, trzeba odwoływać się do nienowoczesnych i nieliberalnych wartości, pisał też Francis Fukuyama w swojej (podobno dobrze znanej, a przynajmniej często cytowanej przez polskich badaczy) książce *Zaufanie*. Wychodząc z powszechnie uznanego założenia, iż do rozwoju ekonomicznego najbardziej przyczynia się zaufanie („...przekonanie, iż innych członków danej społeczności cechuje uczciwe i kooperatywne zachowanie oparte na wspólnie wyznawanych normach”), a to zaufanie buduje z kolei efektywny kapitał społeczny, Fukuyama mówi w którymś miejscu prostym tekstem, zrozumiałym, wydawałoby się, dla każdego: „...kapitał społeczny manifestujący się w formie pozaracjonalnych zwyczajów, które z kolei wywodzą się z «irracjonalnych» zjawisk w rodzaju religii lub tradycyjnej etyki, jest czynnikiem niezbędnym do właściwego funkcjonowania współczesnych instytucji gospodarczych i politycznych” [Fukuyama 1997, s. 367].

Wynikałoby z tego, że w przypadku mieszkańców wsi mamy do czynienia z ogromnym potencjałem wprawdzie nienowoczesnych, ale przez to jak najbardziej pronowoczesnych postaw i nieliberalnych, ale właśnie dlatego proliberalnych wartości, które jednak były niemal jednomyślnie deprecjonowane i potępiane. I cóż takiego przeciwstawiano tradycyjnym postawom? Wyimaginowany etos jeszcze bardziej wyimaginowanej w naszych warunkach „klasy średniej”, jak pisze socjolog, Henryk Domański: „bytu wykreowanego z ideologii liberalizmu”. Jakimiż to złotymi zgłoskami zapisała się w minionym dwudziestolecu owa klasa średnia? Jej mentalność i metody działania przejrzał już na samym początku Jacek Kuroń: „Polska klasa średnia – pisał w 1997 roku – wywodząca się z pierwszego rzutu popeerelowskiego kapitalizmu nie zdobywała swych pozycji

na rynku. Dla jej wielkiej części – a w każdym razie dla tych, którzy doszli do znaczących fortun – nie wolny rynek okazał się najważniejszy, ale kalendarzyki. Więc jeśli ta grupa czegoś rzeczywiście broni, to właśnie kalendarzyków – dojsć, układów, kontyngentów, zamówień rządowych, barier celnych, monopoli, dzięki którym zyskała swoje obecne pozycje” [Kuroń i Żakowski 1997, s. 91–92]. Rozgrywające się na naszych oczach kolejne afery można potraktować jako przypisy do zacytowanej opinii i zarazem potwierdzenie tezy sformułowanej przez innego autora, zajmującego się tymi zjawiskami, Krystynę Skarżyńską, pod adresem drobnych przedsiębiorców, iż „...to nie filar, ale zakała polskiego kapitalizmu” [Kowalik 2009].

O tym, że polskich badaczy nachodzi poniewczasie refleksja, iż coś poszło nie tak, i że być może trochę przesadzili z potępianiem kolektywizmu i jednoczesnym gloryfikowaniem indywidualizmu, świadczy znamienita wolta w poglądach czołowych socjologów. Tak jak poprzednio upatrywano głównej przeszkody dla rozwoju kraju w kolektywizmie (podobno nagminnym zwłaszcza wśród mieszkańców polskiej wsi), tak obecnie winą za „rozwój molekularny”, oparty wyłącznie na egoistycznych motywacjach i nierokujący stabilności, obciąża się nadmierny indywidualizm, cechujący oczywiście znów polską wieś. Jeżeli jeszcze parę lat temu socjologowie upominali się stanowczo o kierunek zmian mających prowadzić polskie społeczeństwo prostą drogą od ładu „partykularystyczno-opiekuńczo-roszczeniowo-tradycyjno-wspólnotowo-egalitarnego” do ładu „uniwersalistyczno-rynkowo-osięgnięciowo-innowacyjno-indywidualistyczno-antyegalitarnego” [Ziółkowski 2001], to po upływie raptem niecałej dekady zgodnie ubolewają, że Polska „...od początku transformacji rozwija się niemal wyłącznie zgodnie z modelem molekularnym. Obcy jest nam rozwój wspólnotowy, dla którego istotnym warunkiem jest odpowiednio wysoki poziom kapitału społecznego” [Czapiński 2008, s. 62]. No cóż, pewnie byłoby więcej tego wspólnotowego kapitału społecznego, gdyby i naukowcy, i media nie prześcigali się w jego zwalczaniu. Jak w odniesieniu do lat dziewięćdziesiątych zauważają językoznawcy: „...propagowaną wartością jest w gruncie rzeczy *ego*, czyli egoistyczna samorealizacja odrzucająca wszystko, co może ją utrudniać czy ograniczać. Liczy się sukces indywidualny. Sukces się zautonomizował, dawne sukcesy (w liczbie mnogiej) powszechne, wspólne zastąpił sukces indywidualny” [Bralczyk i Maj 2000, s. 125]. Takie wzory osobowe kreowały media, do takich działań zachęcali politycy, o konieczności odrzucenia atawistycznych więzów wspólnotowych krępujących twórczy indywidualizm pisali badacze. Nie minęła dekada i zapanowała nowa moda, a socjologowie, niczym przysłowiowa ciotka na kanapie, która nic tylko „siedzi i ma za złe”, znów poucza polskie społeczeństwo.

POMYSŁY NA LIKWIDACJĘ „KWESTII WIEJSKIEJ”

Omówiwszy trzy najważniejsze stereotypy na temat polskiej wsi, jakie zdominowały dyskurs publiczny w minionych dwudziestu latach, pora prześledzić proponowane w mediach i opracowaniach naukowych środki zaradcze. W tym

zakresie zarówno historia, jak i czasy współczesne przynoszą całkiem zróżnicowaną ofertę. Jeszcze na przełomie XIX i XX wieku reformatorzy społeczni, zwłaszcza ci o orientacji lewicowej, marksistowskiej, zatroskani stanem kwestii chłopskiej odwoływali się do metod eugeniki, a więc pielęgnowania pożądaných i rugowania niepożądanych pierwiastków w populacji danych społeczeństw. Zgodnie z teoriami rasowymi, które określały wówczas standardy nauki światowej, zamiast „...homeopatycznego szerzenia oświaty ludowej i prac nad podźwigniem żywiołów duchowo niższych przez długie okresy czasu” proponowano bardziej skuteczne metody inżynierii społecznej, na przykład dobór płciowy, który „...przeprowadzany będzie z podobną troskliwością jak obecnie w hodowli zwierząt rasowych” – taki program naprawy głosił na przykład Ludwik Krzywicki [1960, s. 21–22]. Na początku transformacji wobec mieszkańców wsi, oskarżanych o „cywilizacyjną niekompetencję” i „kulturę bloku”, postulowano wprowadzić całkowitą wymianę ich „zasobów mentalnych” [Miszańska 1996], ale oczywiście tak ambitny program z dziedziny transplantologii nie miał szans powodzenia. Obecnie nagłaśniany jest zatem kolejny pomysł: już nie poprawienia niezadowolającej jakości kapitału ludzkiego, ale definitywnego pozbycia się go przez „emigrację ostatnią”. Jak przekonują autorzy publikacji pod takim właśnie tytułem, chodzi o to, by nastąpił trwały odpływ nadwyżki demograficznej, hamującej procesy modernizacyjne. Te trudne do zagospodarowania zasoby pracy – piszą Izabela Grabowska-Lusińska i Marek Okólski – to po prostu ludzie, których cechy społeczno-demograficzne, systemy wartości i nawyki są niewspółmierne do potrzeb rozwoju, próby zaś włączenia takich ludzi w proces rozwoju wiązałyby się z nadmiernymi kosztami. Najwięcej zaś ludzi tego rodzaju – zauważają – mieszka na obszarach wiejskich, są to głównie rolnicy posiadający drobne gospodarstwa, skromnie licząc jakieś 2–3 miliony obywateli Polski [Grabowska-Lusińska i Okólski 2008].

Zacytowane opinie muszą budzić sprzeciw i to z wielu powodów. Przede wszystkim większość ekonomistów i demografów twierdzi coś dokładnie odwrotnego. Nicholas Eberstadt, ekspert w American Enterprise Institute (jednym z najważniejszych amerykańskich think tanków), podkreśla nawet, że „...historia nie zna przykładów społeczeństw, które osiągałyby stały postęp materialny przy jednoczesnym spadku liczby ludności” [Eberstadt 2009, s. 16]. Historyk brytyjski, Tony Judt, pisze w swojej książce *Powojnie*, że czynnikiem, który sprawił europejski cud gospodarczy, był trwały, szybki wzrost liczby ludności Europy. Powszechnie znany też jest fakt, jak dynamizującym bodźcem dla całej gospodarki w USA było pojawienie się wyżu demograficznego (baby boom). Tymczasem w Polsce od lat słyszy się ubolewania z powodu nadmiernej jakoby liczby ludności. W latach osiemdziesiątych postulowano nawet konieczność prowadzenia zdecydowanej polityki antynatalistycznej co najmniej do 2000 roku [Marciniak 1986]. Co ciekawe, w latach 1988–2008 istotnie nastąpił ostry spadek rozrodczości: przez te dwadzieścia lat przybyło zaledwie około 200 tysięcy osób, czyli tyle, ile w minionym czterdziestolecu przybywało co parę miesięcy. Trzecia RP, wiernie realizująca założenia sformułowane jeszcze w PRL-u, to zapewne nie jedyny paradoks dokonywanej w naszym kraju transformacji! Mimo

zmiany ustroju w dalszym ciągu to, co dla innych społeczeństw i gospodarek jest czynnikiem pożądanym i korzystnym, w Polsce z niewiadomych przyczyn traktujemy jak dopust boski i typową „kłeskę urodzaju”, nawet w sytuacji, gdy obawa przed załamaniem systemu ubezpieczeń społecznych na skutek luki pokoleniowej staje się coraz bardziej realna. W takich warunkach sugerowanie jako dobrego rozwiązania definitywnego odpływu zbędnej (?) siły roboczej na Zachód nie znajduje żadnego ekonomicznego uzasadnienia. Zresztą nie wiadomo, czy za „zbędnych” uznać pracowników fizycznych, których ostre niedobory (zwłaszcza tych wykwalifikowanych) zgłaszają coraz częściej urzędy pracy, czy może absolwentów studiów wyższych, którzy powinni znaleźć bez problemu atrakcyjne zatrudnienie w rozwijającej się nowoczesnej gospodarce, a niestety, nie znajdują.

Poza względami ekonomicznymi są jednak także względy społeczne i moralne. Wydawałoby się, że minęły bezpowrotnie czasy, kiedy na serio zastanawiano się nad wyeksportowaniem ludności żydowskiej, kiedy ubolewano nad lenistwem Murzynów czy dowodzono szkodliwego wpływu Cyganów (bo ci nic tylko kradną i brudzą). Łatwo wyobrazić sobie protesty, z jakimi spotkałby się dziś pomysł pozbycia się jako „zbędnych” osób chorych albo gejów. Tymczasem takie hasła wysuwane pod adresem mieszkańców wsi jakoś nie budzą niczyjego sprzeciwu. Nie wiedzieć dlaczego, nikt też nie zastanawia się nad deportacją tzw. ARGİ (Anty-Rozwojowych Grup Interesu – jak pewne środowiska uwikłane w układy korupcyjno-polityczne zdefiniował parę lat temu Andrzej Zybertowicz) [Zybertowicz 2005]. Dziwnym trafem do emigracji ostatniej nominowani zostali natomiast mieszkańcy polskiej wsi, a zwłaszcza polscy chłopci. Trzeba zatem otwarcie pytać, jakie i czyje interesy stoją za takimi planami.

Po pierwsze, czy rzeczywiście chodzi tu o to, że osoby takie spowalniają modernizację kraju, czy może raczej o to, że jeśli uda się doprowadzić do trwałego usunięcia za granicę ludzi sfrustrowanych i niezadowolonych z istniejących porządków, to łatwiej będzie utrzymać stan aktualny? Tylko, że takie rozwiązanie sprzyjać będzie bardziej stagnacji niż modernizacji! Po drugie, czy rzeczywiście chodzi tu o to, jak się najczęściej pisze, że osoby takie mają nieodpowiednie (nie dość nowoczesne) poglądy i świadomość (co, jak wynika z tekstów wybitnych badaczy zachodnich, jest nieprawdą), czy może raczej chodzi tu o fakt, że osoby te stanowią wypróbowany elektorat partii innych niż liberalne, partii o orientacji bardziej tradycyjnej, narodowej i katolickiej [Halamska 2006]? Ale wtedy jasne się staje, że dążenie do usunięcia tych osób to po prostu dążenie do odebrania elektoratu konkurującym z partiami liberalnymi. Nie chodzi tu więc o nic innego, jak tylko o walkę polityczną! I po trzecie, czy rzeczywiście chodzi tu o to, że tradycyjne gospodarstwa rodzinne są niewydajne (co okazało się kolejnym mitem), czy może raczej o to, by polskie rolnictwo i polską ziemię (tę ostatnią własność, jaka nam jeszcze pozostała w ręku) przekazać zagranicznym właścicielom – farmerom, producentom i zachodnim koncernom. Jak pamiętamy, w ten sam sposób odbywały się przygotowania do prywatyzacji przemysłu i sektora bankowego w Polsce. Najpierw wykazywano, że są one za-

cofane i niedochodowe, następnie sprzedawano je za bezcen. Według powszechnie kwestionowanych [Kowalik 2009], a nie tak całkiem chyba bezzasadnych wyliczeń Kazimierz Poznańskiego, pozbyliśmy się naszych fabryk za 10% ich rzeczywistej wartości, Ryszard Bugaj pisał o tym, że majątek tworzący 1/3 PKB (jakieś 250 mld zł) oddaliśmy za 50 mld zł, a Jacek Tittenbrun swoje czterotomowe dzieło o polskiej prywatyzacji, wydane w 2008 roku, podsumował dobitnie: „To był jeden wielki przekręt”. Czy chcemy, by tak samo przebiegła restrukturyzacja polskiego rolnictwa? Podobno Polak jest mądry po szkodzie. Wydaje się, że już wystarczająco dużo szkód ponieśliśmy w minionych dwudziestu latach. Zaczęły się one, jak pamiętamy, „terapią szokową”, o której niektórzy mówią, że więcej w niej było szoku niż terapii, a kontynuowano tę drogę pod hasłem transformacji, co, nie kto inny jak profesor Jan Szczepański, nazwał reformowaniem kraju w stanie transu, czyli niepełnej poczytalności.

Gdyby jednak środowiska liberalne obstawały przy swoich zamiarach, można im przypomnieć jeszcze inne rozwiązanie, kto wie, czy nie najbardziej skuteczne, bo najprostszą drogą prowadzące tam, dokąd, zdaje się, chcą zmierzać. Wychodząc na przeciw oczekiwaniom osiemnastowiecznych, oświeconych kół postępowych, które ubolewały nad rozmiarami nędzy i przeludnienia w rolniczej wówczas i bardzo katolickiej Irlandii, Jonathan Swift, autor *Podróży Guliwera*, zaproponował, by spomiędzy rodzących się licznie (jak to w kraju katolickim) dzieci zachowywać przy życiu (dla pracy i rozrodu) tylko ich część, a pozostałe, „...kiedy osiągną jeden rok życia oferować na sprzedaż co bogatszym obywatelom z przeznaczeniem na stół”, jako że „...młodziutki i zdrowe dobrze odżywione roczne dziecko wielce jest smakowitym i nader pożywnym pokarmem, zarówno duszone w jarzynach, jak i pieczone, smażone czy gotowane” [Swift 2004, s. 32]. Dzięki temu dzieci te unikną poniewierki, ich rodzice się wzbogacą, a kraj nie będzie już przeludniony – ubędzie zwłaszcza katolików! – i tak Irlandia, faktycznie kolonia Anglii, przestanie przysparzać wreszcie problemów.

Powyższy przykład, w sposób szczególnie drastyczny, ale właśnie dlatego wyrazisty, uświadamia, iż biorące swój początek z pozornie neutralnych sformułowań projekty konkretnych działań, które wielokrotnie pojawiają się w debacie publicznej i literaturze naukowej, bardzo trafnie odczytują zawarte tam sugestie i prezentują w sposób otwarty rozwiązania uprzednio niewyrażane wprost, lecz ukryte głęboko jako aluzje, skojarzenia bądź konotacje użytych słów. Nauki społeczne i humanistyczne znają pojęcie funkcji performatywnej języka, która polega właśnie na tym, iż w odpowiednich warunkach mówienie jest nie tyle opisem, konstatacją danej sytuacji, ale potrafi kreować nowe sytuacje społeczne, uruchamiać określone postępowanie. W świetle zaprezentowanych analiz dyskursu na temat polskiej wsi, jaki toczy się od początku transformacji, rodzą się uzasadnione obawy, co do projektowanego kształtu kolejnych przemian. Obecne w tekstach naukowych i publicystyce minionych dwudziestu lat określenia odsyłają bowiem do całkiem czytelnych założeń i definicji sytuacji, a z nich zdają się wynikać w sposób oczywisty propozycje, które w nawiązaniu do jednego ze wspomnianych tytułów śmiało można nazwać propozycja-

mi ostatecznego rozwiązania kwestii chłopskiej w Polsce u progu XXI wieku. Powyższe rozważania miały na celu uświadomienie tych założonych mechanizmów i skłonienie do większej ostrożności w posługiwaniu się pozornie neutralnymi (powtórzmy to raz jeszcze) pojęciami naukowymi, tym bardziej że przechwycone przez media zaczynają one funkcjonować w nowy, dużo bardziej niebezpieczny sposób.

BIBLIOGRAFIA

- Beksiak J., 2001: *Państwo w polskiej gospodarce lat dziewięćdziesiątych XX wieku*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa.
- Błąd M., 2009: *Rolnictwo jako „przechowalnia” nadwyżek siły roboczej w okresie transformacji systemowej w Polsce*. „Wieś i Rolnictwo” 4: 144–156.
- Bralczyk J., Maj G., 2000: *Język mediów – perspektywa aksjologiczna*. W: *Język w mediach masowych*. Red. J. Bralczyk. Oficyna Naukowa, Warszawa: 117–132.
- Curzytek J., 1928: *Badania nad rentownością gospodarstw włościańskich*. PINGW, Warszawa.
- Czapiński J., 2008: *Molekularny rozwój Polski*. W: *Modernizacja Polski. Kody kulturowe i mity*. Red. J. Szomburg. IBnGR, Gdańsk: 57–71.
- Dzun W., 2009: *Kształtowanie się nowej struktury własnościowej i prawno-organizacyjnej producentów rolnych w Rosji*. „Wieś i Rolnictwo” 4: 67–82.
- Eberstadt N., 2009: Wywiad. „Europa” 30: 7–9.
- Fedyszak-Radziejowska B., 2006: *Kapitał ludzki i społeczny polskiej wsi*. W: *Polska wieś 2006. Raport o stanie wsi*. Red. J. Wilkin, I. Nurzyńska. FDPA, Warszawa: 99–110.
- Fedyszak-Radziejowska B., 2010: *Jak kułak dusił wieś*. „Rzeczpospolita” z 27 stycznia: A16–A17.
- Frenkel I., 2010: *Ludność wiejska*. W: *Raport o stanie wsi. Polska wieś 2010*. Red. J. Wilkin, I. Nurzyńska. Scholar, Warszawa: 45–66.
- Fukuyama F., 1997: *Zaufanie*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa.
- Grabowska-Lusińska I., Okólski M., 2008: *Emigracja ostatnia?* Scholar, Warszawa.
- Grabski S., 1989: *Mysli o dziejowej roli Polski*. Wydawnictwo NOT-SIGMA, Warszawa.
- Grabski W., 1936: *System socjologii wsi*. „Roczniki Socjologii Wsi” 1: 7–85.
- Habermas J., 1995: *Teoria działania komunikacyjnego*. T. I. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa.
- Halamska M., 2006: *Czy rolnicy hamują rozwój Polski?* „Studia Regionalne i Lokalne” 3: 5–24.
- Halamska M., Lamarche H., Maurel M.-C., 2003: *Rolnictwo rodzinne w transformacji postkomunistycznej*. IRWiR PAN, Warszawa.
- Jastrzębski J., 1998: *Jak schłopić Polskę?* W: *Wszystek krąg ziemski*. Red. P. Kowalski. Ossolineum, Wrocław: 507–542.
- Judt T., 2008: *Powojnie*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa.
- Kaleta A., 1996: *Rewitalizacja obszarów rustykalnych Europy*. T. I. Ossolineum, Wrocław – Warszawa.
- Kautsky K., 1958: *Kwestia rolna*. KiW, Warszawa.
- Klekotko M., 2005: *Wiejskie społeczeństwo obywatelskie czy wiejskie społeczności obywatelskie*. W: *W obliczu zmiany*. Red. K. Górlach, K. Foryś. UJ, Kraków: 107–119.
- Kocik L., 2001: *Trauma i eurosceptycyzm polskiej wsi*. UJ, Kraków.
- Koraszewski A., 1992: *Wielki poker*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa.
- Kowalik T., 2009: *Polska transformacja*. MUZA SA, Warszawa.
- Król M., 2002: *Żakeria po polsku*. „Rzeczpospolita” z 6–7 kwietnia.
- Krzywicki L., 1960: *Antropologia w historiografii i socjologii*. W: L. Krzywicki, *Dziela*. T. IV. PWN, Warszawa: 7–25.
- Krzywicki L., 1967: *Kwestia rolna*. PWN, Warszawa.

- Kuroń J., Żakowski J., 1997: *Siedmiolatka, czyli kto ukradł Polskę?* Media-Press, Wrocław.
- Lamentowicz W., 1995: *Obywatelstwo w integrującej się Europie*. W: *Człowiek jako obywatel*. Red. M. Szyszkowska. Oficyna Naukowa, Warszawa: 65–94.
- Landes D., 2002: *Bogactwo i nędza narodów*. MUZA SA, Warszawa.
- Lenin W., 1984: *Rozwój kapitalizmu w Rosji*. W: W. Lenin, *Dzieła wszystkie*. T. III. PWN, Warszawa: 429–667.
- Łagowski B., 2003: *Pomyłki*. „Przegląd” z 5 stycznia: 11–14.
- Łazarewicz C., 2008: *Chłop w zaniku*. „Polityka” 38: 15–16.
- Majcherek J., 2009: *Wsi zacofana, wsi niewesoła*. „Gazeta Wyborcza” z 26 marca: 9–12.
- Marciniak S., 1986: *Struktura gospodarcza Polski*. PWE, Warszawa.
- Michna W., 2008: *Współczesna rola rolniczych i wiejskich organizacji*. „Realia” 6: 17–42.
- Miszalska A., 1996: *Reakcje społeczne na przemiany ustrojowe*. UE, Łódź.
- Mokrzycki E., 2001: *Bilans niesentymentalny*. IFiS PAN, Warszawa.
- Ortega y Gasset J., 2004: *Ewolucja teorii dedukcyjnej. słowo/obraz terytoria*, Gdańsk.
- Pietrasik Z., 2003: *Wieś robi wieś*. „Polityka” 47: 13–16.
- Poleszczuk J., 1990: *Społeczno-kulturowa geneza współczesnej socjologii empirycznej*. W: *Teoria i praktyka socjologii empirycznej*. Red. A. Giza-Poleszczuk, E. Mokrzycki. IFiS PAN, Warszawa: 55–78.
- Problem barier świadomościowych na wsi wobec integracji Polski z UE*, 2000. Red. E. Kośmicki. AE, Poznań.
- Rawls J., 1994: *Teoria sprawiedliwości*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa.
- Rychard A., Federowicz M., 1993: *Społeczeństwo w transformacji*. IFiS PAN, Warszawa.
- Staniszkis J., 2001: *Postkomunizm. słowo/obraz terytoria*, Gdańsk.
- Swift J., 2004: *Skromna propozycja*. „Nowa Res Publica” 3: 28–35.
- Śpiewak P., 2005: *Między indywidualizmem a niezależnością*. W: *Polska: jedna czy wiele?* Red. H. Domański, A. Rychard, P. Śpiewak. Trio, Warszawa: 143–195.
- Tischner J., 1982: *Widnokrąg pracy ojczystej*. „Tygodnik Powszechny” 38: 5–6.
- Wieś i jej mieszkańcy*, 1995. Red. B. Fedyszak-Radziejowska. IRWiR PAN, Warszawa.
- Zarycki T., 2009: *Peryferie. Nowe ujęcia zależności centro-peryferijnych*. Scholar, Warszawa.
- Zbyszewski K., 1962: *Niemcewicz od przodu i tyłu*. PIW, Warszawa.
- Ziółkowski M., 2001: *Tendencje zmian w podstawowych sferach życia społecznego*. W: *Pierwsza dekada niepodległości*. Red. E. Wnuk-Lipiński. IFiS PAN, Warszawa: 57–84.
- Zybortowicz A., 2005: *Antyrozwojowe Grupy Interesów: zarys analizy*. W: *Kręgi integracji i rozdzaje tożsamości*. Red. W. Wesołowski, J. Włodarek. Scholar, Warszawa: 299–324.

THE PICTURE OF RURAL COMMUNITY IN THE PUBLIC DISCUSSION AFTER 1989

Abstract. The article analyzes the main trends of the discussion on the problems of the rural community and agriculture in Poland held during the period of transformation. It uses for the purpose both scientific publications and press reports. The author of the article tries to argue the main points formulated during that discussion (e.g. rural community as a burden hampering reforms, as the society's debtor, peasant agriculture as an inefficient form of farming, etc.) by showing their groundless character and ideological and political motivations.

Key words: the language of hatred, the end of peasants, inter-branch flows, paradigm of transformation